KAZIMIERZ HOFFMAN

zielony jesteś

Zielony jesteś

Mała Biblioteka „Pomorza“

WYDANO Z DOTACJI PREZYDIUM WRN
W BYDGOSZCZY

KAZIMIERZ HOFFMAN

zielony jesteś

WYDAWNICTWO MORSKIE • GDYNIA

Okładkę i stronę tytułową projektowała
KRYSTYNA ROGACZEWSKA

WYDAWNICTWO MORSKIE, GDYNIA 1964
Wydanie pierwsze. Nakład 700 + 150 egz. Ark. wyd. 0,9. Ark. druk. 1,39. Oddano do składania 28.I.64. Podpisano do druku i druk ukończono w kwietniu 1964 r. Gdańskie Zakłady Graficzne. Zam. 349. — A-3
Gdańsk, Świętojańska 19/23
Cena zł 7.—

I

Staff

od boru spiesz się Ty woła
kukułka
dokąd mnie tak niosą

z tym wieńcem na czole

ktoś kubek podaje
ktoś chwyta pantofle
za oknem łoża, pościele obłoków

przechylam
wkładam
to mnie usypia

A chciałem już pisać
a chciałem już pisać:

Czas: jak wilczur w skoku

u gardła —

Martwa natura z łodzią

Łódź
wyrzucona na piasek
w oparzyskach piołunu
od łąk
uschnięta

Deska od deski w czerni
odchodząca

U spodu
muszla
skamieniała w ciszy
po wyłuskanym nasieniu morza

Cień: ów polip śnięty
w chmurze atramentu

Wyżej —
stoją motyle

na horyzoncie
Żeglarz
z oberwanymi skrzydłami
odwraca jeszcze głowę
do wspomnień o Itace
przyszpilony

Rozmowy

I mówi pierwszy

W końcu trzeba uwierzyć w tę historię
bez drutu
w ten balonik wynikający bez słomki
poruszający się bez gazu, powietrza
w środku —
sam jeden
pomiędzy Chelsea a dębem w Rogalinie

w cudowne rozmnożenie łąki
w przemianę rosy w wino

(w ten kiełek
pod jezdnią
powtarzający do skutku
powtarzający rzecz całą o wiertle
przebijaniu i listku zielonym)

w ową kroplę o właściwościach łagodnej
prawej ręki
i napełnionego dzbana
    w te kwadraty obłoków
    kasztanów trójkąty
    przemiany błękitnego w zielone o, zielonego
    w żółte —
w tę wielką szybę mokrą pod procami blasku!

bo oto: zakołysały się haszcze
i dzień — zapłoniony, nagi —
jak dziewczyna Renuara
dopada naszego ciała
— — —

zamykamy oczy
rozchylamy usta

*

I mówi drugi

Dokąd zmierzasz Z chmury
potwora
który po trzykroć
oplata ziemię
Ten Ocean opada

Na ogród, na ptaka
kiedy w koronie
ukrywa szary
koszyczek gniazda
Ten Ocean opada

W dzbany owoców, o głębiej
do pestki
do samej chłodnej
szypułki soku
Ten Ocean opada

Kropla po kropli
przez dzień i przez sen,

który nami
jak źdźbłami szeleści
Ten Ocean opada

Jakże napięta jest
cisza ogrodu
jak niespokojny
wróblika krok

zobaczysz
synku
ukaże się dno

*

Trzeci milczy

Mieszka wysoko
i jego głos dochodzi najpóźniej

Wróżby

Z tych lat
— lustro
otwiera się

złote —
w obłoku zieleni

Za klonem
staw

Dziewięcioletni
odchylał gałąź
patrzał w głąb

W wodzie przejrzystej
twarz dziecka
czysta

pamiętam

tam w złotym piasku
leżała podkowa

Słonie

I oto pchnąwszy ostatniego słonia —

tak, podziwu godna owa umiejętność
przetaczania ciężarów po równi po-
chyłej Ta krzepa Jako i przewlekanie
przez ucho igielne

— przekroczył Alpy.
Idziemy z Tomem przez Zoo Jeszcze nie
poruszyły się liście Nie trzasnęły trawy
Słonie stoją
szeregiem Światło Nie Ołów Matowe blachy
pokrywają ich skórę Trąby uniesione
prosto Ni głosu ni szmeru Skąd te
zwyczaje twarde Ta musztra Jak w wojsku

Hannibal — powiadam głośno
Co Hannibal — pyta Tom Ach
Hannibal

i pojmuje w końcu. Ich ślepka
odprowadzają nas na przepisową odległość

Pod wieczór

Tak pod czterdziestkę pod wieczór
zaczynają się sypać
jak liście z drzew Dotyka czoła
        i opadają mu ręce

widzi w oknach mury ziemiste
porusza wargami już mówić nie umie
kurczy się naraz
rozkleja

pod piętą
pantofle
czekają na wędrówkę
od ściany do ściany

A w końcu ta historia niewarta
jest grosza Ale zauważ

spod pieca — w otoczce ciepła —
poprzez nie domkniętą zastawkę Jego
serca — wdreptuje weń
        matka

przysiada na brzeżku — po chwili
w jej palcach
śmigają szydełka

Jak można tak siedzieć
w tej ruinie bez światła
o prawie czterdziestu rozbitych lustrach!

spójrzcie na jej twarz
        poprawiła swój czepek
        otwiera usta

jeszcze go wykarmię
i w świat wyprawię
o

i dzieje gruby ciepły szal

Piosenka

Z czarnego tunelu
Wybiega się na światło
Pociąg czeka

Jeszcze nie za późno

Nie było znaku
Nie wciągnięto kotwicy
Lina napięta

Jeszcze nie za późno

Okno wiatr
Spada liść
Okno jest otwarte

Jeszcze nie za późno

Ale pęka klucz
Od wyjściowych drzwi
I kręci się w kółko

Matki są odważne

Ten tuzin pieluszek
naprzeciw wiatrom gwiazdy

płonącej

Matki są odważne
Ich dziób
wycelowany
w zjadliwe oko słońca

Ich skrzydło z ołowiu
ich szpony
nad falowaniem cieni
i listowia

Tak mija rok

Ach, jak on ssie!

obrasta ścięgnami
wypełnia się krwią

Synku
krzyczą
kiedy dorośnie

do ognia.

Dedal do poety Faniasza

Zaczęło się od piłki,
której po zabawie
nie złożył grzecznie w kąciku obok
pluszowego lwa

— odlicz dziesięć lat

Potem, kiedy podrósł
a od balkonu
dmuchnął wiatr
poniechał nagle rannych ćwiczeń

— odlicz dziesięć lat

Przyjdę ach wierz mi Lecz nie powrócił
to później było
W wieczór tak głuchy
że nawet zwykłe skrzypnięcie drzwi
to ślepy strach

— odlicz dziesięć lat

Dziś z wolą taką
co począć można Zawiesić
na kołku
niby zerwany w trzech miejscach
sznurek

jak tutaj zszywać, Faniaszu,
skrzydła Powiedz Otwórz mi okno
o płyną chmury

Piękniej

Carcinoma, mówisz
        carcinoma ventriculi
        carcinoma pancreatis
        carcinoma pulmonum
nazwali to ludzie z białych sal
dyszących jodoformem

och nazwijmy to
piękniej
jesteśmy poetami

        wilgotne tropiki
        o liściach wybujałych

zaszczepia w nas chemia

II

Attyla

Attyla Bicz Boży
Z rogiem u czoła

wypuszcza sokoła

gdziekolwiek opadniesz tam
wbiję dziś topór
głodne mam serce
spiesz się

ptak kiwa głową
i odlatuje

Dzień jest pogodny
przez trawy gałęzie
przesuwa się światło
zapala dęby

... za lasem Gallów
ptak zeszedł w dół

Attyla świszcze

jest już na skraju
odgarnia gęstwę
mierzy
okiem

minęli jaskier

oracz idzie za pługiem
dziewczyna niesie dzban
pod złotym obłokiem

Romeo — Julia

I oto z nastaniem września
dzień staje się krótszy Przerywasz
wpół słowa Biegniesz do
drzewa, stukasz: z gałązki na gałąź
sypie się mrok

Próbujesz inaczej Wołasz
zatrzaskują się skrzydła
liść nad głową twoją
odwraca się i zwija

Twoje słowa o nadziei
moje słowa o
pisklęta z rozdziawionymi dziobami
cofnęły się w głąb

I oto jest cisza
Nieznana, chłodna ręka
zamyka przejścia w gęstwie niezmierzonej

nasze oczy rozwarte
nasze wargi z metalu
odchylone

Chodźmy stąd — mówisz
Ta noc popatrz Ściana
jej chłód mnie przebija

Za późno — mówię Zaraz
księżyc wzejdzie

bezmierne wapienie
otaczają nas

nie widzieliśmy Werony

Z baroku

Pukałem do drzwi
dębowych kutych
Ziewnęły drzwi dębowe
kute

Połknęły.

Odtąd
żądło perspektywy
rozpuszcza we mnie
ten krajobraz ze złoceń

odpycham rękami

wiadoma trąbka
nawołuje z góry

Epizod na drodze

6. VIII.

A skoro tak powiedział —
wyrwanym ze snu
splecionym jak pumy pod nowiem godowym
Skoro powiedział: Słuchaj no bednarzu
i ty słuchaj niewiasto —
skoro tak powiedział To idź teraz przy mnie
I nie odwracaj głowy Nie odwracaj głowy

Wiedziałem dawno:
Ta cisza w listowiu Ściana z pergaminu
domu naszego maty i wiązania

wszystko jest z popiołu I oto czuję:
Na wzgórzach miasto w żmijach purpurowych
Ten znak rozpadu na moim ramieniu
... ktoś woła jeszcze.

Nie odwracaj głowy
Nie odwracaj głowy

Gdzie jesteś żono
Skąd się wziąłeś kamieniu

Nagle

Pan o tym wątpi: nagle,
z głębi cienia, gdy las jest bezbronny
gdy las się przechyla (pod sykiem promienia
jak zawsze — w południe) zza drzew,
w zgrzytach trawy,

na zakręcie ścieżki...?

Pan o tym wątpi? O Pan jest szczęśliwy
Tak Gołąb Pana wzroku — przebiwszy zieleń —
pofrunął w dal

kto go doścignie
kto go tam dopadnie!

Choć stary Wiener,
zdejmując okulary, powtarza cicho:
Ze wszystkich jastrzębi
najszybszy jest strach.

W ich oczach z diamentu

Schowaj się za listek —

cisza w dygotaniu
w ich oczach z diamentu
pieni się żółć

fale szaleństwa
cwałują im w twarzy
dochodzą czoła tak
zrozum

za listek
ich oczy z diamentu
nie pytaj stoi krew

wyciągnęli ramię cisza
ważą wyrok tak palec nie
dźwignia
przesuwa się w dół

ich żmije
sterowane
obliczone w kątach
skorpiony o

suną

twoje ciało kruche
twoje ciało z bólu
usta usta z krzyku
. . . . . .

za listek się schowaj
schowaj się za listek

zielony jesteś —

Rousseau

Jako że byłem,
że jestem ów Żyd Spod Ściany
Nagi
nawleczony na żebro Ta skóra Z ową
żałosnością
pomiędzy udami Lękam się

dalej.

Przestrzenie — Zimne
Zamknięte. Budowle w aluminium
Beton beton

bez liścia. Bez zawołań.

Ściany —

O wy miasta księżycowe
o obliczu tragicznie zmarłych

Wrócić chcę odejść na pola

III

Powracająca do zdrowia

te znaki zwykłe,
a patrzy wkoło
jak gdyby wyszedł z głębi ziemi

strącona kropla
gwiazdę składa

powyżej listek
w bór przerasta

od kropli z dzioba
wilgowego
od razu jawor
w źródle cały

on promień snuje
w ptaka schodzi
zamieszkać chce koronę drzewa

choć tyle tylko
ach znaki zwykłe

pochyla się nad nią: ona zasnęła.

Zapisane

Polana w ogniu Kule

wrzącej miedzi
pękają z sykiem
na kłączach i makówkach

jak cudownie
szczy słońce

. . . . . .

Licz dalej
licz dalej
kukułko!

Węszenie

Człowiek, pytasz,
Kim jest

Pod wieczór
nadchodzą zwierzęta

ich lędźwia
kołyszą ciszę

ruchliwe nozdrza
obwąchują przestrzeń

Człowiek Kim jest
spokojne ufne

wchodzą w gęstwinę
szelesty snu

o świcie
budzi nas bek
nowonarodzonego jagnięcia

Człowiek, powtarzasz,
Kim jest

Jan, brat Gelsominy

A teraz już idźmy

Bo oni — nawet
nasze łachmany
bębenek, sznur

Nim błyśnie dzień
pędząc swą wściekłość
po dzikich ścierniskach
staną
nad naszym barłogiem

weź swoją trąbkę

chodźmy stąd chodźmy
to czasy morderców

*

A kiedy udeptali
tę ziemię nad gwiazdą
poczęli zdrapywać z rąk swoich
i czół
brunatne plamy

Połyskujący
biali

stoją nad szparką,
w której żyją jeszcze
ludzie
Schodzą

Cofamy się

Ich nagłe wejście
słodkawy odór krwi
pełznący od palców
ich twarze nie ludzkie i
nie zwierzęce

cofamy się
prędzej!

ale nogi: mamy z kamienia

*

Zwrócony ku tobie
oddycham

Nadbiegający płomień Ten krzyk
Te palce na murze
Ta pamięć krzyku wielkiego nocy
bez nieba

Zwrócony ku tobie
oddycham

Wycieram z oczu obrazy
bolesne jak

ziarna piasku Wycieram,
by nie wróciły

W południe, czyste jak tarcza
w promieniach
patrzę na ciebie

. . . . . .

Czytam
inny czas

*

A teraz już idźmy

Oni biegną
śladami tych słów

W kapturach wieczoru.

Deszcz

Będzie deszcz
mówili ludzie

będzie deszcz mówiła
do siebie
i w gąszczu złotym
rozplotła warkocze

płonęło w liściach

ludzie mówili
będzie deszcz

Zaprawdę
niedługo potem
upadli pod ulewą
ołowianych kropel

W nocy
przeświecają

Seneka

Więc mówię mu
ten nowy sposób tak gwałtownego rozkładu
przedmiotów Ludzi powiedzmy Zwinięcie się
liścia, jak zawsze przy ogniu Ubytek ptactwa
mimo
ostrych zakazów w okresie
ochrony Topienie się krzemu Powiedzmy
dół —

boję się

Przerywa mi
Czymś wstrętnym jest gwałtem zapewniać sobie
życie i przeciwnie, nader pięknie jest
gwałtownie umierać

No dobrze mówię ale
Chwileczkę — mówi
przymyka oczy (tamci wciąż ćwiczą)
To jednak go razi
myślę To jednak go razi: to niebo
z wirującym jak pszczoły metalem

Nad Safoną

tu noce są mroźne
otul skronie Safo
w ciszy z lisich kroków
pęka z hukiem dąb

pod rumowiem liści
tura wieczne rogi

tu noce są mroźne
otul piersi Safo
bo ci je zaciśnie
wielki chłód od rzeki
gdy przetacza z chrzęstem
swoje okolice

tu noce są mroźne
otul stopy Safo
a bywało przecież
plac drutami spięty

długie igły wody

tysiąc nagich ludzi
kryształ
po krysztale
kto ci co innego
tu przypomni Safo
w śniegu jakie zwierzę
z lodu jaki ptak

SPIS TREŚCI

I

Staff 7
Martwa nautra z łodzią 8
Rozmowy 9
Wróżby 12
Słonie 13
Pod wieczór 14
Piosenka 16
Matki są odważne 17
Dedal do poety Faniasza 18
Piękniej 20

II

Attyla 23
Romeo — Julia 25
Z baroku 27
Epizod na drodze 28
Nagle 29
W ich oczach z diamentu 30
Rousseau 32

III

Powracająca do zdrowia 35
Zapisane 36
Węszenie 37
Jan, brat Gelsominy 38
Deszcz 41
Seneka 42
Nad Safoną 43

Cena zł 7.—